

BESTSELLEROWA AUTORKA NEW YORK TIMESA, USA TODAY I WALL STREET JOURNAL

LUCY SCORE



By a  
Thread

Komedia  
(nie)romantyczna

Tytuł oryginału: By a Thread: A Grumpy Boss Romantic Comedy

Tłumaczenie: Agnieszka Górczyńska

ISBN: 978-83-283-8825-3

Copyright © 2020 Lucy Score

Published by arrangement with Bookcase Literary Agency and Booklab Agency.

Polish edition copyright © 2023 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/byathr>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

# ROZDZIAŁ 1

## Dominic

Młodsza redaktorka ćwierkała mi do ucha coś o kanarkowożółtych sukienkach i kubańskich sesjach, podczas gdy styczniowy wiatr muskał mnie lodowatymi palcami i przesywał na wylot. Pokonałem krawężnik przysypany potężną zaspą czegoś, co kiedyś było śniegiem, a teraz szarą, brudną, zmrożoną i wyglądającą absolutnie depresyjnie grudą.

W pełni się z nią utożsamiałem.

Niedaleko był też facet, bezdomny, sądząc po jego zdartych butach i płaszczu mocno nadgryzionym zębem czasu. Siedział skulony w kącie opuszczonego sklepu. Miał ze sobą psa otulonego w jeden z tych tanich polarowych kocyków, które hipermarkety praktycznie oddawały półdarmo na Boże Narodzenie.

*Niech to szlag. Nienawidziłem, kiedy mieli psy.*

Nigdy nie miałem swojego, za to miałem kilka wspomnień czarnego labradora Fonziego, który był pupilem mojej dziewczyny z liceum. Ten labrador to *jedyn*e dobre wspomnienia z tamtego związku.

Obróciłem głowę w kierunku faceta, a mój kierowca, Nelson, już wiedział, co ma robić. Znał te manewry. Nie wynikały one bynajmniej z dobroci mojego serca. Nie miałem w sobie ani krzty dobroci, ani serca.

Traktowałem to raczej jako rodzaj pokuty za to, że jestem dupkiem.

Nelson zniknął z tyłu SUV-a i otworzył klapę. On zajmował się niezbędnymi zakupami i ich „dystrybucją”, ja zaś pokrywałem koszty tej operacji.

Gdy tu wrócę, ten biedak będzie miał nowy płaszcz, kieszeń pełną kart podarunkowych oraz namiary na najbliższą noclegownię akceptującą zwierzęta. A ten sierściuszek patrzący na swojego pana z takim uwielbieniem dostanie jakieś ciepłe psie wdzianko.

Poszedłem na tę cholerną pizzę, na którą tak nalegała moja matka. Przyjazd z Midtown do Village, w taki parszywy i przesywający zimnem do szpiku kości wtorek, nie był *moim* wymarzonym pomysłem na dobrą zabawę.

Natomiast najlepszym sposobem mojej *matki* na ubaw po pachy było zmuszanie mnie do robienia rzeczy, na które zupełnie nie miałem ochoty.

Jeśli istniał na świecie ktokolwiek, dla kogo gotów byłem się tak irracjonalnie zachowywać, to tylko ona, Dalessandra Russo. Miała naprawdę ciężki rok. Mógłbym jej zaferować potężną pizzę i całą swoją uwagę, zanim Nelson zabierze mój tyłek do Upper West Side, do domu, w którym zapewne spędzę kolejne trzy godziny na gapieniu się w ekran monitora, zanim się zorientuję, że już środek nocy, i pójdę spać.

*Sam.*

Uratowanie dobrego imienia rodziny, a także biznesu nie pozwalało mi na jakiegokolwiek inne zajęcia. Zastanawiałem się, czy nie powinienem sobie kupić psa.

Mój płaszcz powiewał na lodowatym wietrze, gdy poszedłem do obskurnego, pomarańczowego szyldu restauracji, a dyrektor artystyczna włączyła się ze swoimi przemyśleniami o pomysłach projektantów na majową okładkę.

Zima na Manhattanie była okropnie depresyjna. Nie byłem typem faceta, który uwielbia sweterki i kubek gorącej czekolady. Jeździłem na nartach tylko dlatego, że tak po prostu robią wszyscy ludzie, którzy urodzili się w zamożnej rodzinie. Tak naprawdę to zamiast śmigać w zaspach śniegu, w styczniu wolałem spędzić dwa tygodnie gdzieś na Karaibach.

Przynajmniej w poprzednim życiu.

Otworzyłem zaparowane szklane drzwi pizzerii George's Village Pizza. Nade mną zadźwięczał dzwoneczek, oznajmiający moje przybycie. Na początku poczułem wszechogarniające ciepło. Dopiero potem do mojego nosa dotarły zapachy czosnku i świeżo wypieczonego ciasta. Może to wcale nie był taki zły pomysł, że mama wywlekła mnie tutaj.

— Co pan o tym sądzi, panie Russo? — dopytywała młodsza redaktorka.

Nie znosiłem, kiedy mówiło się do mnie per panie Russo. Nie lubiłem też tego, że nie mogłem nikogo objechać z powodu mojego niezadowolenia. To było najgorsze. Nie mogłem na nikim wyładować całego wzburzenia i emocji, które narosły we mnie przez ostatni rok.

Moją uwagę przykuły krągłości i loki.

Kobieta wyprostowała się nad stolikiem najbliżej drzwi, wpychając napiewek do utyłanego mąką fartucha. Spojrzała na mnie i poczułem coś... interesującego. Jakby znajomego. Zupełnie jakbym już ją gdzieś widział.

A przecież byliśmy nieznanymi.

— Brzmi świetnie — rzuciłem do telefonu.

— Mogę to wszystko razem złożyć, jeśli chcesz — zaoferowała młodsza redaktorka.

— Byłbym wdzięczny — powiedziałem, czując ulgę, że tym razem sama to zaproponowała i nie musiałem o nic prosić.

Wszyscy jakoś przyzwyczaili się do myśli, że muszę *zobaczyć* projekt w ostatecznej wersji, aby zdecydować, czy zadziała. Nie byłem, kurwa, moim ojcem i mam nadzieję, że w końcu do tego przywykną.

Krągłości i loki należały do kelnerki, sądząc po napisie GVP na koszulce termicznej z długim rękawem. Miała na sobie zwykle dzinsy. Buty przynajmniej od dwóch lat nie nadawały się do noszenia. Mimo to wykonała twórczą pracę flamastrem i przywróciła im nieco bieli. Była sporo niższa i nieco bardziej zaokrąglona tu i ówdzie niż większość kobiet, z którymi ostatnio miałem do czynienia.

W ostatnim roku dość dobrze uodporniłem się na długonogie, wychudzone i przypominające modelki dwudziestoparolatki. Cóż, jeśli miałbym być szczerzy, to była najwyższa pora, zwłaszcza że miałem już czterdzieści cztery lata. Było coś fascynującego w tej kobiecie patrzącej na mnie i pokazującej mi umieszczoną na tablicy korkowej tuż przy drzwiach tabliczkę informującą o zakazie używania telefonów komórkowych.

Interesująca twarz. Pogodniejsza i bardziej zaokrąglona niż te wszystkie zdobiące okładki kolorowych magazynów twarze z wystającymi kośćmi policzkowymi. Pełne usta i duże brązowe oczy, które sprawiały wrażenie ciepłych. Niczym miód. I te włosy, kasztanowobrązowe, sięgające do brody i układające się w luźne, niedbałe fale i loki. Powodowały, że miałem nieodpartą ochotę włożyć w nie dłonie, podczas gdy ona pode mną szeptałaby bez tchu moje imię.

Nie mogłem przestać się na nią gapić.

— Będę to mieć dla ciebie na rano — mądrzyła się młodsza redaktorka.

Nie pamiętałem jej imienia — fakt, byłem dupkiem — za to dość dobrze utkwiała mi w pamięci jej poważna i bardzo gorliwa twarz. Była typem

pracownika, który bez szemrania chętnie zostawał po godzinach, nawet do nocy, jeśli tylko go poproszono.

— Na jutro do południa będzie dobrze — powiedziałem jej, ciesząc się, że Panna Światne Loki posłała mi spojrzenie, które oczywiście kompletnie zignorowałem.

Panna Światne Loki teatralnie odchrząknęła i sięgnęła po ulotkę obok mnie, po czym zaczęła mocno nią stukać. Miała na nadgarstku trzy tanie kolorowe bransoletki. Kiedy się nachyliła, pachniała radosnymi, słonecznymi cytrynami.

— Wyjdź z tym na zewnątrz, kolego — powiedziała gardłowym, rzeczowym tonem.

*Kolego?*

Najwyraźniej nie wystraszyła się dupka ubranego od stóp do głów w Hugo Bossa, z fryzurą kosztującą więcej niż wszystko, co miała na sobie. Pławiłem się w tej jej pogardzie. To było dla mnie o wiele ciekawsze niż te przerażone spojrzenia i ciągle powtarzane „oczywiście, natychmiast, panie Russo”, które nieustannie słyszałem na korytarzach w pracy.

Zakryłem mikrofon telefonu (nie znosiłem tych wkładanych słuchaweczek).

— Jest zimno. To zajmie tylko minutkę — powiedziałem stanowczo i dobitnie, nie pozostawiając miejsca na debatę.

— Nie ja odpowiadam ani za pogodę, ani za zasady używania telefonów. Na. Zewnątrz — powiedziała, zupełnie jakbym był zbuntowanym, niesfornym trzylatkiem, i pokazała mi palcem drzwi.

— Nie — odpowiedziałem. Nie zabrzmiałem przy tym jak płacziwy sraluch. Raczej jak wkurzony klient, który ma prawo oczekiwać szacunku.

Odsłoniłem telefon i kontynuowałem rozmowę. *Byłem złośliwym sukinysem.*

— Odlóż ten durny telefon albo pożałujesz — ostrzegła.

Ludzie zaczęli się na nas gapić. Żadne z nas się tym nie przejęło.

— Nie masz stolików czekających na obsługę? — zapytałem. — A może specjalizujesz się w dyscyplinowaniu i prześladowaniu klientów?

Jej oczy były niemalże złote w tym świetle i mógłbym przysiąc, że prawie się uśmiechały.

— Och, sam się o to prosiłeś, kolego. — Ponownie się pochyliła, zbyt blisko, jak na nowojorskie zwyczaje. Nowojorczyacy cenili sobie przestrzeń osobistą. Czubek jej głowy znalazł się na wysokości mojego ramienia.

— Proszę pana, czeka pan na wyniki testów na obecność chorób wenerycznych czy hemoroidów? — wykrzyknęła niedaleko mikrofonu mojej komórki.

*Ty zołzo.*

— Oddzwonię — powiedziałem do telefonu i się rozłączyłem.

Panna Światne Loki rzuciła mi czarujący, najbardziej promienny i jednocześnie sztuczny uśmiech, na jaki tylko było ją stać.

— Witamy w George's Village Pizza. Jak rozumiem, samotna kolacja dziś wieczór?

— To był telefon z pracy — powiedziałem lodowato.

— To wspaniałe, że potrafisz mieć pracę i jednocześnie być tak niegrzeczny.

Minęło sporo czasu, odkąd zmiażdżyłem nieokazującego szacunku podwładnego. Miałem ochotę zrobić to samo z nią. Wyglądała na taką, która nie tylko potrafiłaby to znieść, ale jeszcze dobrze się przy tym bawić.

— Dominic.

Spojrzałem Pannie Światne Loki przez ramię i zauważyłem matkę machającą z zielonej łoży w kącie. Wyglądała na rozbawioną.

Kelnerka patrzyła to na mnie, to na moją mamę.

— Jest dla ciebie zdecydowanie za dobra — oznajmiła, ciskając menu na moją pierś i odchodząc.

— Mamo — przywitałem się i pochyliłem, aby ją pocałować w nieskazitelny policzek, zanim wsunąłem się do łoży naprzeciwko niej.

— To było niezłe wejście — powiedziała, opierając podbródek na dłoni.

Była okazem pewności siebie w wydekoltowanym swetrze w kolorze kości słoniowej i czerwonej skórzanej spódnicy. Jej włosy naturalnie się srebrzyły i były modnie obcięte dość krótko. Fryzura — podobnie jak masywny szmargad na środkowym palcu prawej dłoni — były jej własnym prezentem dla siebie, który sobie sprawiła dzień po tym, jak wykopała mojego ojca z ich kamienicy na Upper East Side. Zrobiła to o kilka dekad za późno.

Moja matka była piękną kobietą. Od zawsze. Karierę modelki rozpoczęła jako długonoga piętnastolatka o sarnich oczach, zanim odkryła i zdecydowała, że woli się zająć biznesową stroną mody. Obecnie ma sześćdziesiąt dziewięć lat i już dawno temu porzuciła przewracanie sarnimi oczyma na rzecz

bystrego umysłu i ciętego języka. W branży czuła się najlepiej, gdy jednocześnie budziła strach i była uwielbiana.

— Była niewiarygodnie niegrzeczna — tłumaczyłem się, patrząc, jak Panna Świetne Loki uciniała sobie pogawędkę z klientami przy stoliku naprzeciwno.

— To *ty* byłeś niesamowicie nieprzyjemny — upierała się moja matka.

— Jak zwykle — skwitowałem, po czym otworzyłem menu i zacząłem je przeglądać. Próbowałem jakoś powstrzymać emocje, które buzowały we mnie niczym przebudzony smok. Od trzynastu miesięcy starałem się być najlepszą wersją siebie, szczególnie pod względem zachowania, i powolutku coś zaczynało we mnie pękać.

— Nie zaczynaj znowu z tą śpiewką pod tytułem „jestem dupkiem” — westchnęła i założyła z powrotem okulary do czytania.

— Wcześniej czy później będziesz musiała porzucić nadzieję, że gdzieś w środku jestem człowiekiem o złotym sercu.

— Nigdy — oznajmiła z zawadiackim uśmiechem.

Poddałem się.

— Dlaczego tutaj jesteśmy?

— Ponieważ chciałam spędzić trochę czasu z moim jedynym synem, światłem w mroku mojego życia, z dala od biura.

Nasze stosunki były tak samo nowe jak jej fryzura.

*To nie był przypadek.*

— Przepraszam — powiedziałem i naprawdę to właśnie miałem na myśli. — Byłem zajęty.

— Kochanie — powiedziała cierpko, co było jak najbardziej uzasadnione.

Nikt nie był bardziej zajęty niż Dalessandra Russo, była modelka i obecna redaktorka naczelna w „Labela”, magazynie o modzie, który nie tylko przetrwał nadejście ery cyfrowej, ale także stał na czele tej transformacji. Co miesiąc moja mama nadzorowała setki stron poświęconych modzie, reklamom, wywiadom oraz poradom. Już nie wspominając o treściach publikowanych online. Następnie dostarczała te wszystkie informacje czytelnikom na całym świecie.

Jeśli została sfotografowana w jakichś butach albo okularach przeciwsłonecznych, wyprzedawały się w ciągu kilku godzin. Jeśli pojawiła się na jakimś pokazie, kolekcja tego projektanta była rozchwytywana przez wszystkich obecnych na sali potencjalnych nabywców. Moja matka sprawiała, że projektanci,



modelki, pisarze i fotografowie stawali się ważni i odnosili sukcesy. Tworzyła kariery lub je niszczyła, gdy okazywało się to konieczne.

I nie prosiła się o zeszloroczny chaos ani na niego nie zasłużyła.

Za to też musiałem odpokutować.

— Przepraszam — powiedziałem ponownie, wyciągając rękę przez stół, żeby uścisnąć jej dłoń. Szmaragd mrugnęła do mnie w świetle.

— Czy mogę państwu zaproponować coś do picia? — Panna Niegrzeczne Świetne Loki powróciła.

— Nie wiem. *A co macie?*

— Świeżo tłoczoną krew niewiniątek, Szatanie. To chyba napój, który najlepiej pasuje do twojej osobowości — powiedziała te słowa miłym tonem. Nawet słodkim.

— Wezmę...

— ...niesłodzoną mrożoną herbatę — dokończyła za mnie.

*Gorzkie. Nudne. Mdłe.*

— Czy to jedno z tych miejsc, w których płaci się kelnerkom za to, żeby były żoźami dla klientów? — zapytałem matkę.

— Och, kochany. Robię to absolutnie za darmo. — Panna Świetne Loki zamrugała gęstymi rzęsami w moją stronę.

Już otworzyłem usta, żeby ją zmiażdżyć, normalnie walcem przejechać.

— Weźmie wodę. Może być z kranu — wtrąciła się mama.

— Oczywiście. A co na kolację? — Panna Świetne Loki rzuciła mojej mamie szczyry uśmiech.

— Słyszałam plotki o tym, jak fenomenalną macie tutaj pizzę — powiedziała mama nieśmiało.

Panna Świetne Loki pochyliła się niczym przyjaciółka dzieląca się sekretami.

— Wszystko się zgadza — powiedziała. — Jest idealna.

Znowu poczułem zapach cytryn.

— W takim razie wezmę pizzę z zieloną cebulką i czarnymi oliwkami.

— Świetny wybór — oznajmiła pyskata kelnerka. — A ty, Panie Czarujący? — zapytała.

— Dla mnie pepperoni. — Zamknąłem menu i odłożyłem, nie patrząc na nią.

— Bardzo kreatywnie — skwitowała.

Może to było nie fair z mojej strony. Ona oczywiście nie miała pojęcia, że mnie zupełnie nieświadomie uruchomiła. Wciąż miałem problem z poczuciem

pewności siebie i *kreatywności* w pracy, czego oczekiwała ode mnie moja matka. A teraz kelnerka wypowiedziała te słowa. Miarka się przebrała i zareagowałem.

— Czy w twoim wieku nie należałoby już mieć prawdziwą pracę, Czarownico? Zresztą akurat ta ci jakoś nie wychodzi.

Nagle zrobiło się cicho. Inni klienci zamarli, wpatrując się w nasz stół. Panna Świetne Loki spojrzała na mnie przeciągle. Boże, dobrze było dać trochę ujścia tym wszystkim emocjom, które od tak dawna dusiłem w sobie.

— Skoro *tak ładnie* prosisz, poświęcę twojemu zamówieniu *szczególną* uwagę — obiecała. Mrugnęła przy tym tak beczelnie, że omal nie wyszedłem z łoży, żeby ją pogonić do kuchni.

— Nie waż się — powiedziała mama, przytrzymując mnie za rękę.

— Nie ujdzie jej to płazem. To my płacimy i jesteśmy klientami.

— Będziesz tu siedział i będziesz uprzejmy. I zjesz wszystko, co uzna za stosowne ci przynieść — zarządziła mama.

— Świetnie. Ale jeśli mnie otruje, pozwę ją i całą jej rodzinę. Jeszcze kolejne pokolenia odczują mój gniew.

Mama westchnęła teatralnie.

— Ktoś cię zranił, kochanie?

To był żart. Jednak oboje wiedzieliśmy, że odpowiedź nie była zabawna.

# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

# Jestem ponad zasadami! I nikt nie będzie mnie nazywał pajacem!

Ally Morales od jakiegoś czasu miała ciężko. Wydawało się jej, że w Nowym Jorku poradzi sobie bez trudu, rzeczywistość jednak okazała się brutalna. Mimo że pracowała równocześnie w kilku miejscach, ledwo co wiązała koniec z końcem. Być może gdyby była łagodną, miłą dziewczyną, byłoby jej łatwiej. Ally jednak miała tak zwany charakter. Była dość odważna, aby głośno, nie przebijając w słowach, wyrażać swoje zdanie. Nawet jeśli była to wyjątkowo niepochlebna opinia o bardzo wpływowym i bogatym człowieku.

Dominic Russo jak mało kto zasługiwał na niepochlebne opinie. Był aroganckim dupkiem, który nie cierpiał pomyłek, nie lubił nikogo o nic prosić i uważał się za kogoś znacznie lepszego od innych. A przy tym kompletnie nie nadawał się do pracy jako dyrektor kreatywny jednego z najbardziej prestiżowych magazynów mody. O czym zresztą sam dobrze wiedział.

Dla obojga byłoby lepiej, gdyby się nigdy nie spotkali — ale złośliwy los zdecydował inaczej. Oczywiście skończyło się katastrofą. Dominic poczuł się urażony (o co zresztą nigdy nie było trudno), a Ally za jego sprawą straciła posadę. Jednak — dziwnym splotem okoliczności Ally wkrótce dostała pracę w nowym miejscu. A tam jej szefem był nie kto inny jak... Dominic!

Tyle że irytująca Ally poza ciętym językiem ma niewytłumaczalnie pociągającą osobowość i ukrywa jakieś tajemnice. A to niepokojąco działa na nowego szefa, który zaczyna fantazjować o swojej pracownicy...